

Teksty Drugie 2000, 1-2, s. 235-239



Adam

Michał Głowiński

Michał GŁOWIŃSKI

Adam

Gdybym miał pisać notę encyklopedyczną, przedstawiałaby się ona mniej więcej tak:

Adam Makowski, ur. 12 XII 1967 roku w Warszawie, historyk literatury, polonista; maturę zdał w roku 1986 w Liceum im. Zamoyskiego, w tym też roku rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Dyplom magistra uzyskał w roku 1991 na podstawie pracy o dyskusjach wokół monografii Józefa Treliaka o Słowackim, praca ta w przeredagowanej postaci została ogłoszona w „Pamiętniku Literackim”. Od września 1991 do czerwca 1994 pracował jako polonista w XIII Liceum Społecznym w Warszawie, przez pewien czas był jego wicedyrektorem. W lutym 1992 podjął pracę w Instytucie Badań Literackich PAN, wiążąc się z Pracownią Poetyki Historycznej; w roku 1995 zorganizował działające w ramach Instytutu Podyplomowe Studium Filologii Polskiej i był jego kierownikiem. Należał też do zespołu redagującego „Teksty Drugie”. Jako badacz literatury interesował się przede wszystkim historią krytyki literackiej; praca doktorska, którą obronił w maju 1999 roku, poświęcona była Piotrowi Chmielowskiemu (ukaze się jako osobna książka w roku 2000). Zmarł tragicznie w Warszawie 31 grudnia 1999 roku.

Tak przedstawiałyby się najbardziej elementarne informacje, które powinny się znaleźć w encyklopedycznej notce. Nie ograniczę się jednak do nich, znałem Adama od dawna, od pierwszego roku jego studiów, mogę powiedzieć, że od tego czasu w jakiś sposób kibicowałem jego życiowej drodze, pod moim kierunkiem napisał pracę magisterską, byłem promotorem jego rozprawy doktorskiej – i oczywiście, nigdy nie przypuszczałem, że sprawy tak się potoczą, iż to mnie przyjdzie pisać o Nim wspomnienie. Gdyby mi ktoś o takiej możliwości kiedykolwiek napomknął, uznałbym ją za nedorzecznosc czystą i niewyobrażalną. Niestety, nieublagany i okrutny bieg wypadków jest twórcą i dostarcicielem absurdów, których nie sposób przewidzieć nawet w najczarniejszych snach.

<http://rcin.org.pl>

Pożegnania

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych prowadziłem z inicjatywy i dzięki uprzejmości pani Jadwigi Puzyniny konwersatorium na drugim piętrze gmachu polonistyki. Drugie piętro jest królestwem językoznawców, moje zajęcia dotyczyły jednak literatury. Uczestniczyło w nich sporo studentów z różnych lat, nie wprowadzałem bowiem żadnych ograniczeń. W pewnym momencie zgłosiło się dwóch młodych ludzi najwyraźniej speszonych, może nawet przerażonych; nieśmiało zapytali, czy mogą uczestniczyć w konwersatorium, choć są studentami pierwszego roku. Był to Adam ze swoim najbliższym kolegą, Robertem Machajkiem. Wtedy zadzierzgnęły się nasze kontakty, które trwać miały aż do końca. Kartkę z życzeniami świątecznymi przyniosła mi poczta kilka dni po Jego śmierci.

Dość szybko zorientowałem się, że jest zdolny, inteligentny, pracowity. Nie miałem wątpliwości, że gdyby chciał, mógłby być twórczym pracownikiem naukowym. Utwierdziła mnie w tym mniemaniu jego praca magisterska, dobrze pomyślana, oryginalna, oparta na szerokim materiale. Pozytywnie również o niej się wypowiedziała niezapomniana Irena Maciejewska, która na moją prośbę ją recenzowała. Nie będę tań, egzamin magisterski Adamowi się nie powiódł, wypadł niespodziewanie słabo. Ale to też wiele o Nim mówi, nie miał w sobie nic z prymusa, który w każdej sytuacji potrafi być poprawny, bo jest pewny siebie – choćby dlatego, że wszystkiego dobrze się wyuczył. Mimo tego relatywnego niepowodzenia nie zmieniłem zdania i tak jak Mu obiecałem po lekturze pracy magisterskiej, rozpocząłem starania o zatrudnienie Go w Instytucie Badań Literackich. Przyszły mi one niespodziewanie łatwo dzięki życzliwości pani Aliny Witkowskiej, której kadencja dyrektorska właśnie dobiegała końca. Przyjęcie Adama w poczet pracowników było bodaj jej ostatnią decyzją personalną, za co wdzięczny jestem do dzisiaj.

Adam postanowił, że nadal zajmować się będzie historią krytyki literackiej; po dyskusjach ustaliliśmy, że swą rozprawę doktorską poświęci pisarstwu krytycznemu Piotra Chmielowskiego. Jak każdy początkujący pracownik Instytutu czuł się w pierwszym okresie chyba trochę onieśmielony, szybko jednak wrósł w jego ludzki pejzaż. A stał się osobą powszechnie znaną, gdy mu powierzono zorganizowanie szkoły podyplomowej. Decyzja Dyrekcji była niewątpliwie ryzykowna i niekonwencjonalna, takich zadań na ogół nie zleca się w instytucjach naukowych młodym ludziom przed doktoratem, okazała się jednak niezwykle trafna. Adam szybko ujawnił zdolności, o które go nie posądzałem – wybitne talenty organizacyjne. Szkołę tę pomyślał i zorganizował znakomicie, prowadził sprawnie, pewną ręką, a jego najbliższa współpracownica, pani Anna Ryjakowa, od początku mówiła o jego działaniach z najwyższym uznaniem. I ja obserwowałem jego pracę jako kierownika Szkoły z podziwem, a był on tym większy, że zdawałem sobie sprawę, iż wśród humanistów talenty organizacyjne czy menedżerskie są niezwykle rzadkie. Byłem niemal pewien, że kiedyś Adam zostanie wicedyrektorem, a może nawet dyrektorem Instytutu. Wśród kolegów z najmłodszego pokolenia nie dostrzegałem nikogo, kto odznaczałby się predyspozycjami, które pozwoliłyby podjąć tego rodzaju obowiązki.

Głowiński Adam

Jak już wspomniałem, szybko wrósł w IBL-owskie środowisko i był powszechnie lubiany. Myślę, że należał do tych osób, jakże w sumie nielicznych, których nie można było nie lubić. A nie można było nie dlatego, że był gładki, przymilny i zbiegał, by być dobrze postrzeganym. Był sobą i był otwarty na ludzi, a otwartość ta zawsze opierała się na dystansie, była stonowana i wolna od wielkich słów. I ja Go lubiłem, a miałem i jako promotor, i jako kolega z Pracowni Poetyki Historycznej, częste z Nim kontakty. Należał do grupy moich wspaniałych doktorantów wypromowanych w kilku ostatnich latach.

Otwartość Adama wyrażała się między innymi w jego niezwyklej uczynności, po prostu lubił przychodzić ludziom z pomocą, był zawsze życzliwy, a było to widoczne niekiedy nawet w drobiazgach. Przez dwa kolejne lata egzaminowałem z nim w jednej komisji w finałach Olimpiady Polonistycznej – i uderzyło mnie, z jaką sympatią i troskliwością traktował zdających, jak starał się sprawić, by się nie denerwowali. Ta wyrażająca się w różnorodnych formach uczynność nie miała w sobie nic z ostentacji, była dyskretna i nie narzucająca się. Adam był człowiekiem wysoce powściągliwym, na ogół o sobie nie mówił, więcej, wydaje mi się, że zależało mu, by między tym, co robi jako historyk literatury, pracownik naukowego instytutu, i jak jest postrzegany, a sferą prywatności przeprowadzić wyraźną linię demarkacyjną. Znałem Go przez kilkanaście lat, rozmawialiśmy o najróżniejszych sprawach, ale dopiero po tragedii z sylwestrowego dnia zdałem sobie sprawę, jak wielu rzeczy o Nim nie wiedziałem. Przede wszystkim nie wiedziałem, że pisze wiersze i że w jego przypadku nie była to tylko pasja z okresu dojrzwania. Nie wiedziałem, że zajmuje się rysowaniem. A także, iż jest znawcą rocka i wykonuje na spotkaniach z rówieśnikami piosenki, akompaniując sobie na gitarze. Po prostu nie zdawałem sobie sprawy, że dysponuje tyłoma zróżnicowanymi kompetencjami artystycznymi.

Wiedziałem natomiast, że słucha chętnie muzyki, którą zwykło się nazywać poważną bądź klasyczną, na te tematy czasem z nim rozmawiałem, aczkolwiek i wieść o tych jego zainteresowaniach dotarła do mnie stosunkowo późno. Zazwyczaj miłośnicy muzyki koncentrują się przede wszystkim na dziełach z XVIII i XIX wieku, Jego upodobania były inne. Zajmowała go muzyka najdawniejsza, przedbarokowa, oraz w szerokim sensie współczesna. Kiedyś ze zdumieniem się dowiedziałem, że słucha z przyjemnością utworów Christophera Tye'a, nigdy o nim nie słyszałem, dopiero z encyklopedii muzycznej dowiedziałem się, że to mało znany angielski kompozytor epoki renesansu. Kiedyś Adam naprawdę zaimponował mi głębią i dociekliwością, świadcząca o tym, jak wprawne i wyczulone ma ucho. Jego ulubionym utworem był III Koncert fortepianowy Prokofiewa. To arcydzieło muzyki XX wieku wielokrotnie nagrywane było na płyty (i te stare, i kompaktowe), Adam wypowiadał się o utrwalonych na nich wykonaniach ze zdumiewającym znawstwem, świadczącym, że nie uszły jego uwagi najdrobniejsze subtelności interpretacyjne; myślę, że komentarzy takich nie powstydziliby się profesjonalny krytyk muzyczny. I w ten sposób, jakby od niechcenia i przez przypadek, odkrywał różne strony swoich zainteresowań czy po prostu swojego świata,

Pożegnania

którego tajemnic na ogół strzegł konsekwentnie. A przede wszystkim ujawniał różne strony swej bogatej osobowości.

Był przy tym nowoczesnym młodym człowiekiem, dla którego pewne techniczne udogodnienia naszego czasu są czymś tak oczywistym, jakby od zawsze dane były przez naturę. O ile wiem, nie wyobrażał sobie życia bez samochodu. I umiał znakomicie go prowadzić. Odbyłem z Nim w ubiegłym roku dłuższą podróż – i podziwiałem maestrię w tej dziedzinie (nazywałem Go Paganinim kierowcy). Myślę, że i tutaj ujawniały się podstawowe właściwości jego osoby: kierował autem w sposób zdecydowany i pewny, ale przy tym niebywale rozważny, płynny, odpowiadzialny. I lubił tę czynność, mówił, że sprawia mu ona wielką satysfakcję. Ale do jego świata należały również takie zdobycze ostatnich dziesięcioleci, jak: komputer, karta kredytowa i – przede wszystkim – telefon komórkowy, z którym się nie rozstawał. Kiedy obserwowałem łatwość, z jaką obraca się w tym świecie, który dla mnie w większości przypadków jest niedostępny i wręcz egzotyczny, myślałem o ogromnej różnicy pokoleniowej, która ujawnia się w tej sferze życia chyba z większą ostrością niż w domenie intelektualnej. Wielokrotnie korzystałem zresztą z Jego wiedzy i dobrych rad – gdy uczyłem się pisać na komputerze, gdy kupowałem magnetowid... I w takich sytuacjach też okazywał się niezawodny. Nie był jednak „technokratą”, przeciwnie, to była sfera praktycznej przydatności, w żadnym wypadku – ideologia.

Interesował się, jak na historyka literatury przystało, różnorodną i rozległą problematyką humanistyczną. Rozmawiałem z Nim przy rozmaitych okazjach na różne tematy. Kiedyś powiedział, że nie czuje w swoim życiu żadnej potrzeby pośpiechu, ma dużo czasu, na wszystko go starczy. Widział przed sobą przyszłość długą i rozległą. Kiedy usłyszałem te słowa, potraktowałem je jako przejaw ufnej młodości, dla której czas nie tworzy jeszcze zagrożenia. Ale też pomyślałem, że jeśli o mnie chodzi, to w latach swej tak już odległej, dawno minionej młodości myśli tego rodzaju bym nie wypowiedział, wydawałaby mi się zbyt ryzykowna; może ze względu na własne uwikłania biograficzne tak apollińskie odczuwanie czasu zawsze było mi dalekie. I natychmiast to wyznanie Adama, jedno z rzadkich, jakie dane mi było od Niego usłyszeć, przypomniało mi się, gdy w sylwestrowy wieczór najbliższa mu osoba, pani Katarzyna S., zadzwoniła do mnie, by przekazać straszną wieść o tym, co się stało. Kiedy ją usłyszałem, nie wiedziałem z początku, o co chodzi, wiadomość wydała mi się tak absurdalna i tak nieprawdopodobna, że jej nie rozumiałem.

Tragedia Adama pokazuje, że nie można ufnie patrzeć w przyszłość i żywić przekonania, że panuje się nad swoim czasem; również wówczas, gdy jest się młodym, zdrowym człowiekiem. Jak się okazało, czasu miał wyjątkowo mało. Zdecydowała o tym seria drobnych wydarzeń i przypadków, które ułożyły się w los i doprowadziły do katastrofy, każącej myśleć o absurdalności ludzkiego istnienia, tej absurdalności, o jakiej w okresie tuż powojennym pisali z emfazą francuscy egzystencjaliści. Któż bowiem mógł się domyślać, że ów los ślepy i okrutny zmaterializuje się w postaci nagłego i niespodziewanego porażenia prądem, że zaatakuje

Głowiński Adam

w miejscu tak banalnym i z reguły nie budzącym obaw jak łazienka – i że uczyni to w momencie najmniej spodziewanym, w dniu, w którym tradycja myśleć każe o zabawie, nie – o umieraniu. Nie znacie dnia, ani godziny!... Nie znał owego momentu finalnego Adam, nie znał nikt z nas, jego przyjaciół i kolegów. Momentu tak zaskakującego i tak – chciałoby się powiedzieć – niesprawiedliwego, że wciąż wydaje się nieprawdopodobny. Trudno zaiste uwierzyć, że coś tak straszego się stało i – tym bardziej – trudno się z tym pogodzić.

luty 2000